



Mirosław Derecki

JADWIGA

Pewnego grudniowego dnia roku pańskiego 1681 w Lublinie panowało wielkie podniecenie. Ku błoniom podmiejskim ciągnęły bryki wypełnione szlachtą i co znamienitszymi przedstawicielami stanu kupieckiego, wśród których widziało się również obcokrajowców - Angielczyków, Francuzów i Italianów tutaj osiadłych i handlem się trudniących. Na piechotę, wielkimi gromadami, waliło pospólstwo obojej płci. Z bram klasztornych, z kościelnych wierzei wychodziły szeregi duchowieństwa. Wszyscy dążyli tam, gdzie nad głowami rozfalowanego, podekscytowanego tłumu wyrastało wysokie, drewniane rusztowanie, spowite czarnym kirem. Rusztowanie kończyło się rozległą platformą. W jej centrum stał niski, drewniany pień, obok leżały narzędzia tortur.

Nie było jeszcze Mistrza wykonującego wyrok ani ofiary dzisiejszej kaźni, jeszcze nie przybyli członkowie prześwieczonego Trybunału lubelskiego z Piotrem Opalińskim, wojewodą łęczyckim, marszałkiem trybunalskim na czele, którzy wyrok wydali i zatwierdzili. Toteż gawieź skracala sobie chwile oczekiwania bądź pogwarkami na temat poprzednich, podobnych tej - ceremonii, bądź śpiewkami nie zawsze najbardziej obyczajnymi. Inni nurkowali w tłumie w poszukiwaniu krewniaków i znajomków, ażeby egzekucję wspólnie oglądać. Od grupy do grupy drążyli przekupnie, różne smakołyki ofiarowując, a gdzieniegdzie, na bryce, już szpunt z antańka wyskoczył i wino lub piwo lało się do podstawionych garnców. Wszystko to przypominało atmosferą raczej odpust lub festyn jakowyś. Ale też takie obyczaje w owych czasach panowały i na krwawe widowiska patrzono jak na teatrum, o tyle ciekawsze, że rekwizyty w nim używane były prawdziwe, a po zakończeniu przedstawienia główny bohater nie szedł na piwo do pobliskiego szyn-ku, lecz pozostawał na miejscu, rozdzielony katowskim mieczem na dwie części.

Dzisiejsze widowisko tym większe budziło zainteresowanie, że stanowiło ostateczny akord sprawy, z jaką Trybunał nie mógł się przez długi czas uporać, przyznając rację już to oskarżycielom, już to oskarżonej - Jadwidze Machównie z Kolbuszowa*. Jeszcze rok temu ta trzydziestoletnia kobieta o nieprzeciętnej urodzie, która na najprzedniejszych dworach europejskich bywała i o której wdzięki ubiegali się znamienici „kawalerowie” - została wyrokiem tegoż lubelskiego Trybunału oczyszczona od wszelkich zarzutów i na wolność

wypuszczona. Minęło jednak zaledwie kilka miesięcy, a już jej wrogowie zdołali zebrać nowe materiały obciążające, uknuć misterny podstęp, który Jadwigę - w efekcie - zawiódł na szafot.

Gdy trębacz na Bramie Krakowskiej odtrąbił południe, z czeluści bramy miejskiej wychynął długo oczekiwany orszak. Na jego czele postępowali członkowie Trybunału, potem szedł Mistrz z pomocnikami, wreszcie toczyła się dwukółka. na której, w śmiertelnej koszuli i ze skutymi rękoma, siedziała skazana. Obok wozu postępował z krzyżem w dłoni ksiądz Żórawski, udzielający Jadwidze ostatniej pociechy, wszystkich otaczał silny kordon z pachołków miejskich złożony. Nie raz i nie dwa drogę orszakowi torowali, bo ciżba napierała ze wszystkich stron, a chwilami tak wielki się tumult czynił, że pachołkowie musieli drzewca halabard w ruch puszczać, aby powłoka cielesna sędziów na szwank nie była wystawiona. Osiągnęła przecież w końcu skazana przeznaczone jej miejsce, a kat już bez żadnych przeszkód wykonał wyrok. Jadwiga Machówna z Kolbuszowa została skazana za udowodniona jej zbrodnię wielożeństwa na odcięcie piersi kleszczami, a następnie na ścięcie mieczem i tak się stało.

Nie pierwszy już raz - jak się rzekło - oglądał Lublin podobne widowisko. Wszak zaledwie rok wcześniej stracono tutaj niejaką Katarzynę Karwatową, którą oskarżono o czary, a przede wszystkim o to, że „posyłała syna swego pod szubienicę, aby powrozy zbierał tych, które odpadają z szubienicy od złodziejów”. Jak wiadomo, istnieje do dzisiaj pogląd, że sznur wisielca przynosi szczęście. Przypadek Karwatowej dowodzi dosadnie, że jest on niesłuszny. W roku 1630 skazano na stos świętokradcę Mateusza, który jednak przed tym był na lubelskim rynku szarpany rozpalonymi kleszczami. W 1641 roku sąd wójtowski ławniczy skazał na ścięcie niejakiego Simona Pictora oraz jego kochankę, wdowę co prawda, ale żyjącą z nim bez ślubu, w związku „nieczystym”. I nic to sędziów nie obchodziło, że skazani pozostawiali szesnaścioro dzieci, połowę zrodzonych ze związków legalnych, a ośmioro „spłodzonych w rozpuście”. Podobnie, u podstaw sprawy Reginy Sokołowskiej, oskarżonej w 1661 roku o czary, stała troska rajców miejskich o czystość obyczajów. W uzasadnieniu wyroku z 1662 r., skazującego ją na tortury z aplikacją ognia a następnie spalenie na stosie, mowa jest przede wszystkim o tym, że „przed poślubieniem męża swego Stanisława Stelmaszka sprawowała się niepoczcwie, nie podług panieńskiego stanu swego, miała z nim porozumienia i z pomocą danego jej napoju pozbyła się płodu”. Dodatkową winą Sokołowskiej było to, że gdy „Stelmaszek (...) nie chciał się z nią żenić, paliła razem z babą Baranową i innymi sznurek z spodnich męskich rzeczy, żeby zaczarować chłopą”.

Wprawdzie Jadwidze Machównie nie próbowano nawet udowodnić czartowskich praktyk, ale aż nadto do skazania jej na okrutną śmierć wystarczył sędziom fakt, że prowadziła się „nieobyczajnie”, co więcej: była już nie tylko bigamistką, ale „poligamistką”.

W szczególny sposób jej przypadek godził w zasady wyznawane przez ówczesnych rajców miejskich. Lublin miał bowiem własną praktykę prawa małżeńskiego. Wprawdzie przez palce patrzono, gdy mąż katował swą małżonkę (szczególnie gdy był „habilis”) i skazywano go na karcer tylko wówczas, jeśli czynił to systematycznie, ale w przypadku zdrady małżeńskiej prawo występowało z całą surowością i jeśli ktoś „na tym sprośnym i wstydlwym uczynku” został przyłapany, dawał gardło „aby takowe rzeczy na potym się nie działy”. W takim kontekście bigamia była grzechem wołającym o pomstę do nieba. To wszystko działo się w latach, gdy Lublin należał do przodujących ośrodków miejskich Rzeczypospolitej, tak w dziedzinie gospodarczo-społecznej jak politycznej i reformacyjno-kulturowej.

Fakt, że czasy powstania Chmielnickiego, a następnie szwedzkiego „potopu”, przyczyniły się do podupadania miasta, a przez to tym śmieiej dochodziła do głosu wszelka ciemnota, ale na przyczyny owych surowości obyczajów i krwawych kaźni warto spojrzeć jeszcze z innej strony. W połowie XVII stulecia utrzymywał się stan wielkiego napięcia między radą miejską a pospółstwem. Rada bezprawnie zarządzała majątkiem miejskim, rozdając kramy, place i grunty miejskie osobom najmniej do tego uprawnionym. To godziło w interesy pospółstwa. Zatargi zaostrzyły się do tego stopnia, że w 1680 r. sprawą znalazła się w sądzie zadwornym. Bardzo możliwe, iż stosując „reżim obyczajowy” rajcy miejscy starali się w ten sposób szachować swych oponentów, a krwawe widowiska miały na celu rozładować „stany napięcia” i skierować uwagę pospółstwa w inną stronę. Przy takim założeniu „rewelacyjna” jak na owe czasy sprawa Jadwigi Machówny nabierała jeszcze dodatkowego posmaku.

A sprawa Jadwigi z Kolbuszowa jest równie niezwykła, jak niezwykły był bieg życia tej kobiety. Śmiało można ją zaliczyć do największych ówczesnych „awanturnic” europejskich. Nieszczęściem jej było, że w pewnej chwili trafiła właśnie do Lublina. W każdej ze stolic europejskich finał jej przygód miałby z pewnością odmienny, bardziej szczęśliwy charakter.

Naprawdę imię jej brzmiało Agnieszka, ale ponieważ do literatury trafiła pod mianem Jadwigi z Kolbuszowa - pozostanmy przy Jadwidze. Zresztą w swoim życiu tak łatwo zmieniała imiona i nazwiska, że ta sprawa wydaje się rzeczą najmniej istotną. Tak więc Jadwiga pochodziła ze stanu „podłego”. Urodziła się na wsi, z ojca Macha, dobosza z Dubna i matki Agnieszki, wieśniaczki kolbuszowskiej. Jak przystało dziewczynie z jej stanu, swoją karierę życiową zaczynała od doglądania krów i owiec. Rodzice byli biedni i najprawdopodobniej bydło, które pasala, należało do ludzi obcych, być może do dworu. W jej środowisku początek „kariery” był równocześnie jej końcem, w owych czasach pasterki nawet nie marzyły o królewiczach z bajki. Naturalną kolejną rzeczą, po dojściu do odpowiedniego wieku, rodzice wyszukiwali córce męża z tego samego stanu i najczęściej

równie biednego, a o dodatkowej karierze można było mówić jeśli ów wybraniec nie bił żony przy każdej okazji. Jadwidze wypadło związać się małżeńskim węzłem z kozakiem Bartoszem Zatorskim. Był to dla późniejszych losów Jadwigi fakt o znaczeniu przełomowym. Małżeństwo z Zatorskim wyrwało ją z własnego środowiska i stawiało o stopień wyżej w gradacji społecznej, o stopień, z którego mogła już wieść droga na wyższe stopnie, równocześnie zaś fakt zawarcia tego małżeństwa będzie stanowił po wielu latach koronny atut oskarżenia w procesie lubelskim.

Małżeństwo z kozakiem, człowiekiem wolnym, przede wszystkim wyrwało Jadwigę z kręgu poddaństwa. Jeśliby nawet nie wiązały się z nim wartości materialne, Jadwiga wchodziła w świat ludzi wolnych. To już była rzecz bezcenna dla kolbuszowskiej wieśniaczki.

Wysoka, smukła, odznaczała się niezwykłą pięknnością, szlachetnością rysów, bardziej upodabniającą ją do szlachcianki i to wysokiego rodu niż do prostej chłopki. Posiadała również jakiś szczególny urok zniewalający mężczyzn, przyrodzoną dozę kokieterii. Sędzia radomski Kazimierz Malinowski, deputowany na trybunał lubelski, napisze kiedyś o niej, że „rzadko się na publicznych miejscach pokazywała i to ze spuszczoną na twarz zasłoną dla wzbudzenia tym większej ciekawości i pożądlivosti”.

Ale przede wszystkim cechowała Jadwigę niecodzienna osobowość i niezwykła chłopskiemu stanowi fantazja. Małżeństwo z Bartoszem Zatorskim trwało krótko. Nie wiadomo z czyjej winy rozpadło się. Czy Zatorski zaczął obchodzić się z żoną „po kozacku”, czy opuściła go dla innego mężczyzny, czy też z prostego wyrachowania, aby - raz postawiwszy stopę na drabinie społecznej - piąć się jeszcze wyżej. Ta ostatnia możliwość wydaje się najbliższa prawdy. W dalszej historii Jadwigi z Kolbuszowa nie widać cienia romansu. Swojej urody używa ona zawsze z chłodnym wyrachowaniem.

Kobiety uciekają zwykle od mężów do rodziców. Jadwiga uciekła od Zatorskiego do Krakowa, wcale nie myśląc o układaniu sobie życia w roli dziewczki służebnej czy pomywaczki w jakiejś obskurnej szynkowni. Była na tyle inteligentna, że wiedziała, iż jej jedynym atutem w świecie, w którym żyje, jest nieprzeciętna uroda. Kobiety mało przedsiębiorcze szły w takim wypadku „na ulicę” - nieprzeciętne potrafiły się zdobyć na buduar. Do tych ostatnich należała dziewczyna z kolbuszowskiej wsi. Po dość krótkim pobycie w Krakowie, „wdzięki swe sprzedając w różnych miejscach królestwa polskiego”, dotarła do Warszawy. Był rok 1668. Jadwiga mogła mieć lat siedemnaście lub osiemnaście.

Jest to czas, gdy w Warszawie roi się od ludzi, którzy w wyniku długoletnich wojen, jakie przewaliły się przez terytorium Rzeczypospolitej, potracili majątki i rodziny, a którzy teraz wieszają się u pańskiej klamki powołując się na dawne koligacje czy znajomości. Pełno też oszustów, którzy podając się za kogo innego niż są w istocie, starają się wkręcić na

intratne stanowiska; wejść w zapewniające im byt związki małżeńskie. Do tych ostatnich należy Jadwiga z Kolbuszowa. Ukrywając starannie swoją dotychczasową profesję, wkrada się do salonów szlacheckich głosząc że jest panną, córką Marcina z Rytwian Zborowskiego. Ma w zanadrzu całe „drzewo genealogiczne”. Oto matką jej jest Kopciówna z domu, wdowa po Domaradzkim, która owdowiawszy, wyszła za mąż za Marcina Zborowskiego. Rodzice zginęli w zawierusze wojennej, zaś ona sama została uratowana przez mamkę, która wychowała ją w swoim domu w Kolbuszowej. Stąd nieco prostackie manieri Jadwigi i brak wykształcenia. Trzeba przyznać, że rozjeżdżając się po Polsce i „sprzedając wdzięki” Jadwiga czasu nie marnowała. Musiała przy tym obracać się raczej wśród szlachty i z zasłyszanych rozmów upleść misterną sieć kłamstw. Nie braknie jej także elokwencji, skoro bez większego trudu potrafi przekonać ludzi, że jest tym za kogo się podaje. A mężczyznom mydli oczy jej uroda.

I oto, rzecz niesłychana: pojmuje ją za żonę szlachcic, oficer wojsk cesarskich, Kollati i zabiera ze sobą do Wiednia. Jadwiga popełniła bigamię. I znowu małżeństwo nie trwa długo. Tym razem jednak ona jest stroną poszkodowaną, to mąż „dla rozwiązłego życia” porzuca poślubioną w dalekiej Polsce „szlachciankę”. Ale trafiła kosa na kamień. Przebiegła i inteligentna kobieta potrafiła się już zadomowić w środowisku wiedeńskim. Bez większych trudności - może wykorzystując po drodze dawny proceder? - trafia do samego cesarza. Do wielu nieprzeciętnych cech charakteryzujących osobowość Jadwigi dochodzą zdolności aktorskie. Jawi się monarsze jako nieszczęsna ofiara podłości ludzkiej. Twierdzi, że jest córka „polskiego marszałka”, którą Kollati w sobie rozkochał, podstępnie uwiódł z klasztoru, a potem, gdy rodzice przystali na małżeństwo, wziął za nią posag w klejnotach wartości stu tysięcy dukatów. Nie ma na to żadnego dowodu, a ex-małżonek zaprzecza wszystkiemu gwałtownie, twierdząc, że wziął ją nagą i bosą. Jednak piękna kobieta wzbudza współczucie Jego Cesarskiej Mości w wyniku czego... zostaje jej przyznane z majątku męża odszkodowanie wartości kilkudziesięciu tysięcy dukatów.

Pieniądze te mogły zapewnić Jadwidze byt aż do śmierci. Ale ona zakosztowała już wystawnego i świetnego życia... Szasta złotem na prawo i lewo, jest znana na dworze, ma setki przyjaciół. Przy takim tempie wydawania każdy worek wkrótce musi ukazać dno. Jadwiga z Kolbuszowa, vel Agnieszka Machówna, vel Agnieszka Zatorska, vel Jadwiga Kollati, spotyka na swej drodze rodaka. Właśnie przybył do Wiednia szesnastoletni Stanisław Rupniewski. kasztelanic biecki. Chłopca wysłano za granicę dla nabrania ogłady w obcych krajach, otarcia się o kulturę europejską. Zamiast jednak zwiedzać muzea lub przecierać sobie drogi do zaszczytów na dworze cesarskim Rupniewski, oczarowany pięknnością Jadwigi, bez wahania oddaje się - jak wówczas mówiono - we władzę Amora. Jest taki zaślepiony w swej młodzieńczej, i pierwszej zapewne miłości, że natychmiast bierze ślub ze znacznie starszą

kobietą nie pytając o pieniądze, koneksje, pochodzenie. Bierze ja jako pannę, bo za taka się narzeczona podaje. Jadwiga jest sprytna. Wie, że tutaj, na miejscu, jej matactwa szybko wyjdą na jaw. Skłania więc nowo poślubionego małżonka, aby wyjechali za granicę... Na przykład do Paryża...

Młodzieńcowi wszystko jedno, gdzie będzie ze swą ukochaną dzielił stół i łóżko, to też wkrótce Jadwiga Rupniewska zamieszkuje w cieniu katedry Notre Dame.

Chłodne wiatry ciągnące od Sekwany nie wyszły na zdrowie wążemu kasztelanicy. Zmarł w kwiecie wieku, pozostawiając nieutuloną w żalu małżonkę oraz dziedzica rodu, którego zdołał jeszcze spłodzić. Żal małżonki był tym większy, że wkrótce zasoby pieniężne przywiezione przez kasztelanica z Polski wyczerpały się, a oburzona mezaliansem rodzina nie chciała przysłać ani grosza.

Chcąc nie chcąc, wraca piękna Jadwiga „z dziecięciami” do kraju i tutaj, przedstawiając świadectwo ślubu, zaczyna dochodzić swych praw. Posuwa się nawet do tego, że w pewnym momencie po prostu zajężdża posiadłości zmarłego męża.

Od tej chwili niesamowicie wprost dotąd szczęście zaczyna ją powoli opuszczać. W Warszawie i Wiedniu stykała się ze środowiskiem, gdzie pieniędzmi szastano na prawo i lewo, nie bardzo zastanawiając się, skąd pochodzą a często... na jaki właściwie cel zostaną wydane. Tutaj... tutaj, na prowincji polskiej, panowie szlachta i aśki dobrodźczyki liczą każdą krupę...

Na drodze do majątku staje Jadwidze rodzona siostra Rupniewskiego, Anna Barbara, żona Franciszka Szembeka, starosty bieckiego. Jest to kobieta o silnym charakterze a równocześnie mądra i przedsiębiorcza. Ona to w 1677 roku wytacza Jadwidze z Kolbuszowa proces przed trybunałem lubelskim, zarzucając jej, że po pierwsze - w ogóle nie jest szlachcianką ani nie nazywa się z domu Zborowska, po drugie - że wzięła ślub z Rupniewskim nieprawnie, bo już przedtem miała dwóch mężów. Dodatkowym „smaczkim” jest wyciągnięcie na światło dzienne „bogatej przeszłości” pozwanej.

Sprawa wydaje się być nieskomplikowana, jako że trybunał lubelski znany jest ze szczególnego upodobania do tropienia spraw dotyczących moralności i etyki małżeńskiej i z ferowania w takich sprawach wyroków okrutnych i nieodwracalnych. Ale rzecz zaczyna się gmatwać. Wprawdzie Jadwiga nie potrafi udowodnić swojego pochodzenia, ale też Szembekowa nie może jej udowodnić braku powiązań ze Zborowskimi ani... dawnej profesji. Za to Jadwiga szermuje dokumentem niezbitie stwierdzającym, że wzięła ślub z Rupniewskim. Zresztą, kolejny raz grając komedię, w ogóle nie stawia się w sądzie prowadząc sprawę przez adwokatów. „Zamyka się” w klasztorze, aby w nim szukać pocieszenia i ucieczki od ludzkiej „podłości i niesprawiedliwości”. Nie ma przecież zamiaru zostać mniszką. Wręcz przeciwnie. W momencie, gdy poznała Stanisława Domaszewskiego,

starostę łukowskiego „biedna, potrzebująca opieki kobieta”, natychmiast wiedzie go do ołtarza. Tym razem z dumnie wzniesionym czołem przedstawia w kościele oficjalny akt zgonu Rupniewskiego. Domaszewski z pewnością dał się zwieść urodzie Jadwigi, ale niepoślednią rolę w jego uczuciach musiały odgrywać pieniądze. Pieniądze, które coraz bardziej ważną rolę zaczynają odgrywać w tym procesie. Jedna i druga strona nie żałują ich dla zapewnienia sobie wygranej. Z tą różnicą, że gdy Szembekowa sypie gotówka, Jadwiga z Kolbuszowa... obietnicami. Ma swoim dłużnikom zapłacić wówczas, gdy odzyska "należne jej" majątki.

Domaszewski widocznie bardziej kochał konkrety, w tym wypadku gotówkę, niż miraż rozciągany przed nim przez żonę, skoro „wkrótce zbrzydził ją sobie ten nowy małżonek /a następnie/... przekupiony od strony przeciwnej, porozumiał się z oskarżycielami i sam ją (Jadwigę) zdradliwie pod ratusz trybunalski między kramy pod pozorem przechadzki wyprowadził, gdzie takowa zaraz czyhający umyślnie instygator z warta pojmał i w więzieniu osadził”. Inni jednak zadowolają się mirażami i oto sprawa, która wydawała się już przybierać obrót fatalny, jeszcze raz obraca się na korzyść oskarżonej. Członkowie pobocznej linii Zborowskich przedstawiają dokumenty, że istotnie, Jadwiga jest ich krewniaczką. Trybunał daje im wiarę... i oto, w 1680 roku Jadwiga wychodzi z więzienia z wysoko podniesionym czołem, uwolniona od wszelkich zarzutów.

Jest to jednak tylko czasowe zwycięstwo. Proces o spadek nie został jeszcze rozstrzygnięty. W dodatku, podczas pobytu Jadwigi w więzieniu, strona przeciwna miała dostateczną ilość czasu na zbieranie dodatkowych dowodów winy. Ale minął jeszcze prawie rok zanim przystąpiono do decydującej ofensywy.

Trzeba przyznać Annie Barbarze Szembekowej, że nie żałowała ani pieniędzy ani też czasu i wysiłku na liczne rozjazdy po Polsce dla sprawdzenia każdego szczegółu, nad jakim nieraz lekkomyślnie przechodził trybunał. Ona i jej zausznicy prześledzili każdy krok Jadwigi w poprzednich latach, dotarli do ludzi, z którymi przestawała, i do znajomości, do których się przyznawała.

Pewnego dnia, stanął przed trybunałem lubelskim odszukany gdzieś w świecie... kozak Bartosz Zatorski, który wprawdzie dawno już o żonie zapomniał, ale teraz, gdy usłyszał brzęk sakiewki, oskarżył ją o zbrodnię wielożeństwa. Zjawiała się też wdowa po Marcinie Zborowskim. Dowiodła, że wprawdzie nosiła kiedyś nazwisko Domaradzka, ale było to jej nazwisko panięskie a z żadną Kopciówną nigdy się Zborowski nie ożenił. Dowiodła wreszcie, że mąż zmarł w roku 1649, a więc w żadnym wypadku nie może być ojcem Jadwigi, która twierdziła, iż urodziła się w 1651 r. Tak to zasłyszana gdzieś przez Jadwigę i nie sprawdzona w pełni historia rodu Zborowskich w znacznej mierze przyczyniła się do wydania na nią wyroku śmierci.

Być może wśród gawiedzi obserwującej ostatnie chwile Jadwigi Machówny stał także Jan z Wielomowic Gawiński, poeta dość mierny, który wkrótce potem napisał wiersz „Mowa ostatnia umierającej przez miecz Jadwigi z Kolbuszowa w Lublinie dekretem trybunalskim pokonanej r. 1681”. Nie zamieścił go jednak w żadnym ze zbiorów. Dopiero w połowie XIX wieku wiersz ten wydał „z rękopisu dawnego” - Żegota Pauli. „Mowa” kończy się tak:

„Już mi zegarek dociekł, a cień tylko gadam
Tobie duchu mieszkanie z ciała wypowiadam:
Tnij mieczu! Ty o twórcu, jedyną cześć moi
Miejsce pokutujących daj gdzie wierni Twoi!”
FINIS

*Z Kolbuszowej - przyp. red.

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 25, s. 6-7.